EPOKA
TYGODNIK

ROK II | Warszawa, 24 września 1933 R. | NR. 39 (52)

Beznadziejne protesty

Na wulkanie

Spekulanci filmowi

Matki nieślubne

Gdzie niemoralność?

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Odgłosy. Najnowsze książki.

AUTORZY: **Wasowski. Waśniewski. Cękalski. Michałowski. Czarnowski. Czyściecki.**

WYDARZENIA I DOKUMENTY

MORD SĄDOWY W BUKARESZCIE

W bukaresztenskim procesie robotników z zakładów w Grivitza zapadł wyrok, który wywołał nieprzychylne dla sądu rumuńskiego komentarze prasy krajowej i zagranicznej. Zatarg pomiędzy kolejarzami a dyrekcją dróg żelaznych Rumunji, w kwietniu b. r., okupiony życiem i ranami wielu ludzi, znalazł obecnie epilog przed sądem doraźnym. Bukaresztenski dziennik *Adverul* zwraca uwagę na niewłaściwość trybu doraźnego dla sprawy kolejarzy z Grivitza:

„O co chodziło? O objawy niezadowolenia kolejarzy. Byli wyczerpani warunkami pracy, redukcją zarobków, nieumotywowanem przenoszeniem na inne miejsca zajęć. Czy mieli rację? Proces niewątpliwie dowiódł, że — tak. Dawni ministrowie Robót Publicznych, którym podlegał zarząd dróg żelaznych, pp. Manoilescu i Peretzeanu uznali roszczenia robotników za słuszne. Inny, dawny minister Robót Publicznych, p. Lupu, również uznał prawo kolejarzy do ujawnienia słusznego niezadowolenia.

„Mocą ustaw burżuazyjnych, nawet reakcyjnych, robotnicy posiadają prawo wyrażania swych roszczeń zapomocą strajków i koalicyj. Robotnicy z Grivitza skorzystali z jednego z tych uprawnień".

Proces wykazał bezpodstawność najpoważniejszego zarzutu — strzelania kolejarzy do wojska. Mury kościoła, stojącego na terenie zajść, nosiły jednak wyraźne ślady kul. Świadkowie zeznali pod przysięgą, że dziury w murach powstały w szczególny sposób: wywiercił je śrubą jakiś osobnik, któremu towarzyszył policjant, kierujący tą „operacją" oraz fotograf, który utrwalił na kliszy świeżo wydrążone dziury. Jednym z naocznych świadków tej sceny był ksiądz tego kościoła.

Ofiarą zajść padło kilkunastu robotników. Proces ujawnił, że oskarżeni nie ponoszą żadnej odpowiedzialności za krwawy przebieg wypadków.

Wbrew oczywistej niewinności oskarżonych — zapadł wyrok, skazujący dwóch robotników na dożywotnie ciężkie roboty, a innych na łączną karę kilkuset lat więzienia i galer.

Ksiądz, który pod przysięgą oświadczył, że robotnicy nie strzelali, zapytany o opinję mas ludowych w kwestji winy oskarżonych, odpowiedział:

„Ludzie są przekonani o ich niewinności. Teraz dowiedzą się o okrutnym wyroku, podczas gdy proces w niczem nie mógł podważyć ich przekonania".

APEL ROMAIN ROLLANDA

Romain Rolland ogłosił następujące wezwanie:

„Francja za czasów premjera Daladiera jest, zdaje się, ostatnią „ostoją wolności". Jakich praw broni ta „ostoja"?

Zapytajmy o to Indochiny! Zapytajmy 10 tysięcy Annamitów, którzy umierają w więzieniach i na galerach Paulo - Condor i Gujany! Spytajmy skazanych na rozstrzelanie i tych, którzy oczekują śmierci! Zapytajmy wszystkich tych ludzi i ludów, wyzyskiwanych i uciśnionych!

Jakiej wolności broni Francja Daladier'a? Wolności ciemiężców? Wolności wyzysku? Wolności trybunałów doraźnych i karnych ekspedycyj? Czy broni nieskrępowanego prawa do skazywania — na śmierć, na wieloletnie więzienie, na deportację tych, którzy upominają się o wolność ludzką, o możliwość egzystencji czy o znośniejsze warunki życia?

Cóż za urągowisko! Niedawno protestowaliśmy przeciw procesowi Meerut w Indjach, w którym rząd brytyjski skazał na deportację 27-u Hindusów po czteroletniem śledztwie. Rząd brytyjski cofnął się pod naciskiem opinji i wznowił rewizję sprawy. Proces ten wydaje się nam dziś prawie humanitarnym w obliczu barbarzyńskiego wyroku w Saigon, który uwięzionych od trzech lat ośmiu robotników indochińskich skazał na śmierć, osiemnastu — na ciężkie roboty dożywotnie, a stu innych zasądził na łączną karę dziewięciuset lat więzienia!

I ten rząd ośmiela się protestować w imię ludzkiego sumienia przeciw katom wolności, przeciw faszyzmowi. Odmawiamy mu prawa moralnego ku temu!

Jeśli rząd Daladiera, który prześladuje obrońców sumienia, głosi, że obrona ziemi ojczystej jest nietylko prawem, lecz obowiązkiem Francuzów, powinien zdobyć się przynajmniej na lojalne uznanie tego samego prawa i tego samego obowiązku obywateli tych krajów, które Francja wielkich kompanij kolonjalnych podbiła i eksploatuje. Żądamy dla nich amnestji! To jest *ich prawo* i *nasz obowiązek*".

ZWRÓĆCIE NAM AFRYKĘ!

Wielkobrytyjskie dominjum Południowej Afryki zamieszkane jest przez 7 miljonów tubylców i 2 miljony Europejczyków. Masa tubylcza, nędzna i wygłodzona, wegetuje na roli, uprawianej najprymitywniejszemi narzędziami. Biali są farmerami (Holendrzy), wykwalifikowanymi pracownikami przemysłu, lub stanowią klasę średnią (Anglicy).

W rolnictwie — biali wydarli murzynom najżyźniejsze tereny, a jałowa i biedna ziemia, pozostawiona tubylcom, nie daje wystarczającego wyżywienia. W przemyśle dobywania złotego kruszcu, z którym związany jest przemysł węglowy i djamentowy, stosunek robotników czarnych do białych wynosi 9 do 1. Czarny kopacz pobiera najniższą na świecie płacę — 15 szylingów tygodniowo, podczas gdy kopacz biały jest najlepiej opłacany (8 funtów tygodniowo). Przemysły, które rozwijają się pod wysoką ochroną celną, opanowane są wyłącznie przez Europejczyków. Polityka związków zawodowych, znajdująca silne oparcie w prawodawstwie dominjalnem, wyklucza tubylców z zajęć wykwalifikowanych. Sytuację murzynów pogarsza jeszcze system izolacji społecznej: murzyni podróżują w specjalnych, odrębnych wagonach kolejowych, nie mogą jeździć tramwajami, a na ulicach miejskich wolno im chodzić tylko jezdnią.

Ta „cywilizacyjna" polityka Europejczyków sprawia, że nad solidarnością warstwy robotniczej górują różnice ras. W r. 1929 pierwsze fale przesilenia światowego dotarły do Afryki Południowej. Sytuacja materjalna i socjalna białych została raptownie pogorszona. Napływ siły roboczej zmusił Europejczyków do konkurencji z Murzynami w dziedzinie dotąd dawna pogardzanych prac.

Różnice pomiędzy tubylczym proletarjatem czarnych, a uprzywilejowaną arystokracją robotniczą białych — powoli zaczynają zanikać. Kryzys stworzył jednocześnie podatny grunt pod siew haseł wyzwoleńczych. Pogłębiający się ruch przeciwbrytyjski zmierza do „rewolucji kolonjalnej" i stworzenia republiki czarnych. Bojowem hasłem, coraz popularniejszem wśród murzynów, stał się okrzyk „Give us back our Africa!"

Zwróćcie nam naszą Afrykę!

DNO OBYCZAJOWE

Pułkownik Moss, prezes Rady narodowej U. S. A. dla walki z przestępczością, oświadczył prasie, że w Stanach Zjednoczonych ofiarą przestępstw w najrozmaitszej postaci pada 3% ludności. „Rocznie przypada — 12 tysięcy zabójstw, trzy tysiące porwań, dziesięć tysięcy napadów".

„Liczba morderstw wzrosła w ciągu 40 lat o 350%! Opinja publiczna nie wie przeważnie, że przestępcy na większą skalę mają na swe usługi adwokatów, którym wypłacają roczne pensje. Adwokat jest obowiązany telefonować codziennie o ustalonej godzinie do swego klijenta. Jeśli nie zastanie go w ciągu dwóch kolejnych dni, rozpoczyna odwiedziny więzień. Gdy znajdzie uwięzionego, zwraca się do „najsympatyczniejszego" sędziego, który zwalnia przestępcę na podstawie zmyślonego alibi.

„Największą przeszkodą do zwalczenia jest porozumienie, jakie łączy przekupnych sędziów i polityków z nieuczciwą policją".

»CHCĘ PROCHU I KUL!«

Dziesięcioletni chłopiec, należący do organizacji młodocianych hitlerowców, zdaje następującą relację z pobytu w letnim obozie wakacyjnym. Relację tę zamieścił dziennik *Lokal Dortmund Anzeiger* p. t. „Chcę prochu i kul":

„Rzucanie ręcznemi granatami jest bardzo męczące. Jednak codzienna lekcja trwała godzinę. Dawano nam ręczne granaty z drzewa, otoczone żelazem, wagi 800 gramów. Po szczegółowem objaśnieniu budowy i sposobu rzucania, ćwiczyliśmy na piaszczystych wzgórzach. Zaprawialiśmy się w rzutach z każdej pozycji — stojącej, leżącej, z poza drzew i t. d. Te ćwiczenia bardzo nas bawiły. Wszystko zależy od szybkości i celu. Uprawialiśmy również inne sporty i zabawy wojskowe. Obchodziliśmy też święto sportowe w obozie. Zwycięzcy otrzymywali nagrody — krzyże i medale".

KOBIETY ZAGINIONE I SPRZEDANE

Według wykazu VI-ej brygady (obyczajowej) Urz. śledczego m. stoł. Warszawy zaginęły na terenie stolicy w r. 1929 — 72 kobiety. Odnaleziono 60 ofiar, 12 kobiet przepadło jak kamień w wodzie. Według wykazu tejże samej instytucji za rok 1930 zaginęły w tym okresie 72 kobiety. Odnaleziono 68, przepadły 4 kobiety.

Według sprawozdania centralnego biura międzynarodowego zwalczania handlu kobietami i dziećmi przy Ministerstwie Spraw Wewnętrznych przepadło bez wieści w roku 1931 na terenie Polski 31 kobiet w wieku od lat 15-tu do 24-ch. W tym samym czasie zaginęło w samej Warszawie 117 kobiet.

W roku 1932 zaginęło na terenie Warszawy 68 kobiet.

BEZNADZIEJNE PROTESTY

Pewne objawy politycznego zbliżenia polsko-sowieckiego dały asumpt do ponownych rozważań o sytuacji w Z. S. R. R., o tem jak kształtują się tam obecnie sprawy gospodarcze, kulturalne, obyczajowe i jak zapowiada się przyszłość budowy socjalistycznego państwa. W rozważaniach tych, zarówno w ocenie rzeczywistości aktualnej, jak i w stawianych horoskopach, znaczną, przeważnie decydującą rolę gra tendencja polityczna i skłonność do uogólnień. Patrzący na Rosję sowiecką widzą najczęściej to, co chcą widzieć. Do najrzadszych należą wywody, podyktowane przez troskę o ścisłość, rzeczowość i ostrożność w sądach.

Uczciwa wiedza o tem, co się dzieje na szóstej części lądu ziemskiego jest kardynalnym warunkiem odpowiedzialności myśli politycznej. Bez takiej wiedzy błądzimy w mrokach, nie możemy rozumieć dzisiejszego świata, nie mamy nic do powiedzenia o możliwościach dnia jutrzejszego. Wiedza o Z. S. R. R. daje orjentację, obejmującą nietylko teren państwa sowieckiego, albowiem stan rzeczy w tem państwie wpływa nieustannie i w wysokim stopniu na wszechświatową konfigurację polityczno-społeczną, zarówno przez sugestje ideologiczne, jak i przez międzynarodową współzależność spraw gospodarczych. Analiza sytuacji w Z. S. R. R. jest zarazem pracą badawczą nad obrazem politycznym świata. Z drogi tej pracy trzeba usunąć klątwę i apoteozę, jeśli się pragnie mgłę pojęć zastąpić jasnością sądu.

Niemało powodów złożyło się na to, że opinje bezstronne o Z. S. R. R. tak rzadko są wypowiadane. Stoi tu na przeszkodzie siła impulsów uczuciowych, jakże zrozumiałych. Na całym świecie w jednem tylko państwie dokonał się *całkowity* przewrót socjalny, niewiele odbiegający od fanatycznego hasła Bakunina: „Przy przejściu ze starego świata do nowego nie należy zabierać ze sobą *niczego*". Wszystko niemal, co było tradycją, normą podstawową społecznego życia, kanonem i regułą padło w gruzy. Przewrót o takiej skali musiał w opinji wszechświatowej wywołać przedewszystkiem dwie najkrańcowsze postawy: za i przeciw, bez objektywnego rozkładania świateł i cieni, bez trudu badawczego i bez skrupulatnego ważenia szans rozwojowych rewolucji. Ponieważ do dnia dzisiejszego niema w Z. S. R. R. silniejszych momentów społecznej i gospodarczej stabilizacji, ponieważ najdonioślejsze sprawy ulegają tam wciąż zmiennym planom, próbom, fluktuacjom, nic dziwnego, że w warunkach takich nad poglądem bezstronnym góruje w dalszym ciągu pragnienie, nad oceną poważną — horoskop, zgodny nietyle z danemi rzeczywistości, ile z tem, coby najlepiej odpowia-

dało przyjaciołom lub wrogom tego państwa. Gdzie działają namiętności polityczne, tam zawsze mamy do czynienia z objawem, zwanym w nauce *pseudologia phantastica*, czyli widzeniem rzeczy w sposób upragniony.

Lecz istnieje postawa jeszcze dalsza od prawdy, niż wszelkie zabarwienia subjektywne. To — negowanie rzeczywistości, nieuznawanie faktów, *chęć*, nawet *żądza* niewiedzy.

Poważna dyskusja o Z. S. R. R. musi mieć pewne punkty wyjścia, nie ulegające sporowi. Przedewszystkiem — w stwierdzeniu, że rewolucja sowiecka, wciąż jeszcze trwająca, jest największem, najpłodniejszem w swych skutkach, najważniejszem wydarzeniem naszego stulecia i że, powtóre, w swych osiągnięciach konstruktywnych zdobyła pozycje, nie dające się już unicestwić. Stwierdzenie tego faktu nie wymaga szczególnego wysiłku myśli objektywnej, lecz tylko— rzecby można — normalnego wzroku i normalnego słuchu. Co innego ocena, a co innego stwierdzenie faktu. Ekonomiści, psychologowie, moraliści mogą na temat Rosji sowieckiej prowadzić spory nieskończone, lecz jeśli przytomni i odpowiedzialni, nie będą różnili się pod tym przynajmniej względem: zgodzą się, że na terenie Z. S. R. R. przekształca się życie zbiorowe poprzez etapy klęsk i zwycięstw, lecz na drodze, na której przeszłość ginie bezpowrotnie. Nie widzieć tej prawdy bezspornej, to znaczy nie widzieć niczego. A głos lub krzyk niewidzących rozlega się często i przyczynia się w niemałym stopniu do politycznej dezorjentacji. Zapewne, odwracanie się od rzeczywistości, umacnia indywidualne „pewniki", lecz sprawia, że pewna kategorja ludzi, zagniewanych na rzeczywistość, traci wszelki kontakt z dobą obecną, ulegając coraz silniej przywidzeniom i złudom.

Na ankietę o zbliżeniu polsko-sowieckiem, rozpisaną przez *Wiadomości Literackie* odpowiedział, między innymi, prof. Marjan Zdziechowski, wielce zasłużony i szlachetny pisarz. Odpowiedź ta jest typowym głosem niewidzącego i niepragnącego widzieć. Państwo sowieckie jest — zdaniem prof. Zdziechowskiego — jedynie i wyłącznie państwem zbrodni, nowoczesną Sodomą i Gomorą. Wszystko tam budzi obrzydzenie i zasługuje na klątwę. Prof. Zdziechowski powtarza za Mereżkowskim: „Jesteśmy świadkami powstania nowego gatunku istot; fizycznie są to niby ludzie, moralnie — nie. To antropoidy. Stoimy przed straszliwą grozą inwazji antropoidów". I dodaje od siebie: „Wszystko to — zbestjalizowanie i zautomatyzowanie człowieka stanowiło ideę, powiedzmy lepiej — cel bolszewizmu, bo jakże pięknym wyrazem „idea" nazywać to, co obrzydliwe?" Mimo wszystkie błędy, szaleństwa i zbrodnie bolszewizmu, słowa prof. Zdziechowskiego trzeba uznać za... niepoważne. Jeszcze przykład: „Stalin ma w pogardzie komunistów, wierzących w komunizm, w dobrodziejstwa piatiletki, są to głupcy albo obłudnicy; on chamów potrzebuje i gotowych na wszystko łotrów". Oto całe życie polityczne Sowietów: na czele — wielki zbrodniarz, współrządzący z nim to „antropoidy", chamy i łotry, a w zastępach partyjnych — tylko głupcy i obłudnicy. Tak brzmi krzyk żałosnej naiwności, żeby (mając na uwadze dorobek szlachetnego uczonego) nie powiedzieć: prostactwa.

Prof. Zdziechowski wyznaje szczerze, iż nie chce badać rzeczywistości sowieckiej: „Nie znam literatury sowieckiej i znać nie pragnę". Więc jakież zdanie mieć może o tej literaturze? Zdecydował zgóry, że „wszystko, co stamtąd pochodzi, powinno być przedmiotem bezwzględnego bojkotu". Wszystko. Wyrok kategoryczny, zagadnienie uproszczone i wyczerpane.

Oto przykład doskonały wspomnianej *pseudologia phantastica*. Prof. Zdziechowski nie widzi, czego widzieć nie chce, widzi natomiast obraz upragniony: „Zagłodzone a dotychczas bierne masy znalazły nareszcie czynnych prowodyrów i pod wodzą ich organizują się w bandy, napadające na rządowe składy żywności, na pociągi, dowożące tę żywność. Szczęśliwych rabusiów, którzy je ograbili, ograbiają potem ci, co nic zrabować nie zdołali, i mamy „bellum omnium contra omnes", chaos, bo jakże ochronić wszystkie pola, składy, koleje; żadna policja tu nie wystarczy, żadna nawet armja; wszak armja składa się z chłopów, jest w ciągłym kontakcie ze wsią i burzy się. Rozpoczęła się walka na śmierć i życie między zagłodzonym narodem a G. P. U."

Ludzie o słuchu i wzroku normalnym nie widzą dziś takiego obrazu „walki na życie i śmierć". Niema jej, choć tu i ówdzie odbywają się napady na pociągi i składy żywności.

Z chęci niewiedzy i z wyobrażeń fikcyjnych płynie już konsekwentnie ta polityczna fantasmagorja: „Jakżeby piękna i zgodna z tradycją naszą przypadła nam rola, gdybyśmy w przymierzu z Niemcami poszli przeciw Sowietom. Było to moją „idée fixe" od początku Polski niepodległej". Jeśli tę myśl można było kiedyś uważać za „idée fixe", to dziś — szesnaście lat od wybuchu rewolucji rosyjskiej — wskazania takie należą do politycznych majaczeń.

Słusznie pisze prof. Władysław Kozicki, zastrzegając się przeciw indywidualnym sympatjom i antypatjom: „Dziś już chyba nikt nie przypuszcza, że bolszewizm jest przejściową chorobą powojenną, którą prędzej, czy później uleczy ten lub ów białogwardyjski generał. Będzie się bolszewizm, oczywiście, jak wszystko w życiu, zmieniał i przekształcał, ale już tylko w drodze wewnętrznej ewolucji przez lepsze i bardziej celowe przystosowanie teorji do nieodpartych nakazów rzeczywistości".

Głosy takie, jak prof. Zdziechowskiego, należą już do protestów ostatnich i beznadziejnych. Jest to rozbrat z dniem dzisiejszym, pożegnanie rzeczywistości współczesnego świata. *Józef Wasowski*

NA WULKANIE

DJALOG

— Stanowczo więc twierdzisz, że obecna sytuacja prowadzi do dziejowego kataklizmu?

— Bezwarunkowo! Wszyscy przecież zdajemy sobie sprawę, że życie polityczne świata wygląda tak, jakbyśmy bytowali na wulkanie. Lada moment zadrży wszystko w posadach i Europę zaleje lawa namiętności. Przyszła niedaleka już wojna, pochłonie naszą cywilizację!

— Więc — zdaniem twojem — niema już sił, któreby zdołały przeciwstawić się namiętnościom nacjonalistycznym? Całą naszą kulturę europejską uważasz za cieniutką skorupę, która rozleci się pod parciem nowoczesnego barbarzyństwa... Nie, mój drogi. Nie przeczę, że chwilowo barbarzyńca wziął górę, ale cywilizacja europejska stoi już zbyt wysoko, aby można było o niej zwątpić!

— Starożytny Rzym stał również wysoko i runął pod ciosami barbarzyństwa, stoczony wprzód przez czerwia kryzysu... Na początku XVI w., podobnie jak przed ostatnią wojną, różne pięknoduchy, zapatrzone w cywilizację starożytną ,zachwycały się sztuką i literaturą, gardząc ciemnotą. Papież Leon X na wieść o wystąpieniu Lutra i jego dyspucie z Tetzlem pogardliwie machnął ręką i rzekł: „Ot wojna mnichów!" Kilkanaście lat potem ślepe namiętności religijne rozpętały szereg wojen, które niszczyły Europę przez lat sto! Dziś do głosu dochodzi ślepy nacjonalizm.

— Powoływanie się na analogje historyczne — to rzecz niezmiernie śliska. Bo zważ tylko: dzisiaj nie istnieją barbarzyńcy, którzyby zagrażali nam zzewnątrz i jeżeli upadniemy, to tylko pod ciosami barbarzyństwa wewnętrznego. Druga analogja jeszcze mniej do mnie przemawia. W wieku XVI zaledwie najwyższe szczyty społeczne przesiąkły cywilizacją — dziś dużo szersze warstwy korzystają ze zdobyczy cywilizacyjnych. Nie dziw się zatem, że twoje analogje nie przemawiają mi do przekonania. Powiem więcej jeszcze: chwilowe przyćmienie ogólnoludzkich ideałów bierzesz za rzecz stałą. Czyż nie przypuszczasz, że odrodzi się i nabierze nowych sił to, co zwiemy Europą w najszczytniejszem znaczeniu tego słowa?

— Nie przypuszczam! Zdecydowana wola znalazła się po stronie barbarzyństwa. Jakże miękko Europa broni nieszczęsnej Austrji przed zalewem hitlerji, a jak ostro i brutalnie odpowiada „Wódz" na zabiegi dyplomacji angielsko-francuskiej! Niemcy prą do rewizji traktatów z całą stanowczością, a Chamberlain odpowiada miękko i dwuznacznie, że może potem, może z innym rządem. Socjaliści — jak czytaliśmy niedawno — nie zdecydowali się aresztować Hitlera, a w dwa tygodnie potem Hitler nie zawahał się ich zniszczyć, w najohydniejszy sposób, mordując ich i więżąc... Świat należy do silnych!

— Jeden kraj nie stanowi o całej Europie, choć przyznaję, że ludzie skłonni są raczej do naśladowania w złem, niż w dobrem, więc metody hitlerowskie mogą znaleźć naśladowców. Nie bierzesz jednak pod uwagę tego, że nastroje zmieniają się dzisiaj bardzo szybko. Rychło patrzeć, jak zmieni się nastrój w Niemczech, gdy ludność rozczaruje się do swego „proroka".

— Myślisz wciąż jeszcze kategorjami przedwojennemi i przedrewolucyjnemi. W państwach demokratycznych nastrój odgrywał rolę decydującą — dyktatury kpią sobie z nastrojów. Technika rozpędzania tłumów stoi tak wysoko, że wszyscy dyktatorzy mogą nie dbać o rozgoryczone masy.

— A znasz aforyzm Napoleona o bagnetach i ich niedogodności, jako środka podpory władzy?

— Znam! Dyktatury wynalazły jednak i na to sposób.

Knebluje się usta opozycji — młodzież wychowuje się w zupełnej nieświadomości idei przeciwników i w ślepem przywiązaniu do istniejącego porządku rzeczy. Hitlerowcy bredzą o tem, że ich „era" trwać będzie 30 tysięcy lat. Jestem jednak przekonany, że utrzymają się tak długo, póki nie wywołają awantur zewnętrznych. Wówczas zaś — wóz, albo przewóz! W razie zwycięstwa błysną tak straszliwem barbarzyństwem, że aż się wzdryga przed tem wyobraźnia. W razie klęski — przepadną.

— Uważasz tedy, że wojny nie da się uniknąć?

— Tak.

— Jestem innego zdania. Tajemnica potęgi ruchu hitlerowskiego kryje się w demagogji. „Wódz" obiecywał wszystko, a jak dotychczas — nie dotrzymał niczego. Dał swemu motłochowi kilka krwawych widowisk i na tem koniec.

— Mylisz się! Hitler zcalił wewnętrznie Niemcy, kończąc ostatecznie dzieło, rozpoczęte przez Bismarcka.

— Przeholowawszy jednak w krwiożerczości — wywołał to, co spędzało do ostatnich chwil życia sen z powiek żelaznego kanclerza. Bismarck często wspomina w swych pamiętnikach, że prześladuje go koszmar koalicji i odosobnienia Niemiec. Dziś Niemcy są odosobnione!

— Niezupełnie.

— Prawie zupełnie. Europejska opinja publiczna wyraźnie opowiada się przeciwko nim. Wątpię, czy przy takiej konjunkturze politycznej „Wódz" zdecyduje się na wystąpienie wojenne i w tem upatruję koniec hitleryzmu. Nie można bowiem bezkarnie rozpętywać apetytów mas.

— Właśnie dlatego rozpali płomień wojny nad Europą.

Dla ratowania zagrożonej pozycji wewnętrznej wywoła zawieruchę zewnętrzną.

— Nie podzielam twych obaw. Wbrew naszym subjektywnym wrażeniom sytuacja światowa zmierza raczej do uspokojenia się.

— Na czem opierasz te swoje „objektywne" wrażenia?

— Na trzeźwej obserwacji tego, co się dzieje od kilkunastu lat w Europie. Uważam, że to raczej w nas samych kołacze się niepokój, obawa, a nawet strach przed przyszłością. Ona sama nie będzie tak straszna. Przypomnij sobie, jak świat — przerażony potwornościami pierwszego stadjum rewolucji bolszewickiej — bał się pochodu komunizmu przez Europę. A jednak nie doszło do tego, chociaż komunizm nie był przecież mniej agresywny od nacjonalizmu. Warunki społeczne sprzyjały wówczas znakomicie rewolucji, a mimo to ludzkość zawahała się przed

eksperymentem komunistycznym. Opinja europejska wytworzyła taką atmosferę psychiczną, przy której niemożliwym stał się ten eksperyment. Czy przypuszczasz, że nacjonalizm okaże się silniejszy od bolszewizmu? Wszak ten ostatni góruje nad szowinizmem już choćby z tego względu, że niesie ze sobą wizję lepszego świata, czego brak nacjonalizmowi... Nie, mój drogi, uważam, że żaden obłęd nie może być trwały!

— Bolszewizm, widząc, że nie może wyładować swych sił nazewnątrz, zabrał się do budowy socjalistycznego świata w Rosji i wyładował swą energję choćby w „piatiletce". Nacjonalizm wewnątrz może się zdobyć jedynie na antysemickie hece, co nie zaspokoi chęci czynu u młodych „nazi". Im pozostaje tylko wojna!

— Owszem, masz rację: bolszewizm posiada moc wewnętrzną, wizję nowego świata — ale to tem gorzej dla nacjonalizmu, który zawiera w sobie wyłącznie *nienawiść*, a więc siłę negatywną.

— O! przepraszam. Nienawiść jest silnym motorem dziejów, czego przykładem wojny religijne XVI i XVII w. Jeśli nienawiść religijna mogła płodzić czyny historyczne w ciągu niemal stu lat, czemuż nienawiść narodowa ma być od niej słabsza?

— Nienawiść żywiołowa o tyle stoi niżej od miłości ideałów, że łaknie natychmiast zaspokojenia. Musisz przyznać, że hitleryzm nie odniesie w najbliższych latach takich sukcesów, jakie obiecywał otumanionym masom. Za rok, czy lat kilka jego wewnętrzna siła, czerpiąca swe odżywcze soki jedynie z nienawiści — wyczerpie się, a wówczas pozostanie mu tylko gest. Kabotyński gest i zewnętrzne emblematy, pokrywające wewnętrzną pustkę... Mając karabiny, będzie się trzymał u steru państwa, ale już nikt mu nie będzie wierzył. Oderwą się od ruchu zawiedzione masy i cały ruch strupieszeje. Wówczas z tem większą siłą zaświta konieczność przebudowy społecznej, czyli konieczność tego, co stanowi istotę dzisiejszych czasów. Osią, dookoła której obracała się historja XIX stulecia, była również przebudowa społeczna: społeczeństwo stanowe przeradzało się w liberalno-demokratyczne. Próżno na straży ginącego feodalizmu i absolutyzmu stanęło Ś-te Przymierze, próżno wysilał się chytry Metternich i srożył tępy Mikołaj I... Nowy świat powstał! Wysiłki, jakie czyni Hitler, aby odwrócić koło dziejów współczesnych — spełzną na niczem, podobnie, jak wysiłki reakcjonistów pierwszej połowy XIX wieku.

Jan Waśniewski

CZTERDZIEŚCI SCENARJUSZÓW

Aby zarzuty stawiane polskiej kinematografji nie okazały się gołosłowne, należy poddać szczegółowej analizie scenarjusze, reżyserję, montaż i stronę techniczną polskiego filmu. Badanie wytworów polskiej produkcji filmowej usprawiedliwi w zupełności surowy sąd, wypowiadany przez niezależną krytykę.

Scenarjusze polskich filmów w osnowie swojej trzymają się pewnej linji wytycznej, której sens zbadać można, biorąc pod uwagę 40 obrazów dźwiękowych, wykonanych w ciągu trzech ostatnich lat, łącznie z temi filmami, które produkowane obecnie, wprawdzie się jeszcze nie ukazały, lecz treść ich jest już znana. 40 obrazów, plon wysiłku trzech sezonów produkcyjnych, wykonany kosztem około 6.000.000 złotych! Jakaż była treść tych obrazów, jakie sprawy interesowały polskiego producenta, a w następstwie kształciły polskiego widza? Cały materjał da się podzielić ze względów zasadniczych na dramat i farsę. Farsa (ponieważ typ komedji właściwie w filmie polskim dotąd nie wystąpił) nie stawia sobie naogół żadnych zadań kulturalnych. Jest owiana chwalebną skądinąd ideą rozrywki i spełnia swe zadanie źle lub dobrze. Spełnia je źle wtedy, gdy opiera się na prymitywnym dowcipie, na sytuacjach pikantnych, zdradzających skłonność do pornografji, na dowcipach „klozetowych". Rozrywka tego rodzaju jest grą na instynktach najniższych i jako taka może niewątpliwie liczyć na kasę w społeczeństwie niewybrednem. Jednakże i farsa może mieć swój sens wychowawczy, jako naprzykład groteska i satyra na wadliwe formy społeczne. Takim jest jeden tylko, jak dotychczas z tematów polskich fars: realizowana obecnie groteska „12 krzeseł", oparta na powieści Ilfa i Pietrowa. Ciekawe, ile społecznego sensu sowieckiej groteski pozostanie w polskim filmie? Na 40 filmów znajdujemy 7 fars, wszystkie w ostatniej kolejce. Siedem na czterdzieści — nie jest to dużo, zwłaszcza, że aż do „Ułanów" dramat panował niepodzielnie. Tem więcej wymagać trzeba od dramatów, pamiętając, że zły dramat więcej szkody wyrządza od złej komedji.

Scenarjusze tych 7 fars z wyjątkiem „12 krzeseł" — wszystko to splot kabaretowych sytuacyj i t. zw. szmoncesów. Bohaterowie tych fars — to aferzyści i pokątni macherzy, niebieskie ptaszki, specjalizujące się w zręcznem nabieraniu bliźnich i w zjednywaniu sobie sympatji widzów. Nawet w pseudosportowych „100 mtr. miłości" i w pseudomuzycznem „Każdemu wolno kochać" atmosfera sympatycznych szantażyków góruje nad wszystkiem. Patronem polskiej farsy filmowej jest doprawdy ów genjalny Cynjan, najdowcipniejszy z kryminalistów, wielki handlarz pomników i tramwajów. Jedna z jego tranzakcyj została zresztą uwieczniona w „10% dla mnie". Apoteoza podejrzanego biura pośrednictwa małżeństw w „Romeo i Julci" ukoronowała ten kierunek polskiej farsy.

Poza 7 farsami pozostaje jeszcze 33 filmy „serjo". Są to mniej lub więcej „dramatyczne" utwory, przeplatane częstokroć drugoplanową akcją komedjową, nieodbiegającą naogół od opisanego wyżej szablonu. Wśród 33 dramatów znajdujemy całą skalę nastrojów od ciężkiej tragedji psychologicznej, jak „Cham" aż do melodramatu jak „Pałac na kółkach". Ta skala nastrojów nie wyklucza możliwości podziału całego rozpatrywanego materjału na parę zasadniczych grup. Miłość i pieniądz — dwa zasadnicze motory współczesnego filmu — uzupełnia na terenie polskim moment trzeci: wspomnienia niewoli i walk z caratem. Wszystkie filmy opierają się na tych motywach w różnych ich kombinacjach i odmianach. Są tylko dwa wyjątki — „Legjon ulicy" i „Pod Twoją Obronę". W 33 wypadkach tylko te dwa dadzą się postawić poza nawiasem szablonu.

Z pośród trzech motywów zasadniczych stosunkowo najmniejszą rolę w budowie polskich scenarju-

szów odgrywa pieniądz. Na 33 obrazy zaledwie 13 wiąże swój temat ze sprawą walki o bogactwo, żaden nie interesuje się realną sprawą walki o byt, bezrobociem i kryzysem. Polski film wstydliwie unika współczesności i prawdy życiowej. Wszyscy są zamożni, a jeżeli ktoś jest biedny, to marzy o bogactwie i przepychu, a nie o kawałku chleba. Jeżeli zaś ktoś odrzuca miraże bogactw, to ze względów bardzo „mistycznych" (Fioretta w „Pałacu na kółkach"). Ważniejszym znacznie motywem jest miłość i wszystkie jej sprawy od psychologicznej męki miłosnego trójkąta, który jest osnową 22 na 33 scenarjusze, (występując, jako temat wtórny w pozostałych), aż do ponurych spraw prostytucji i szantażu, których naliczyć można w omawianym materjale 10. Motyw patrjotyczny, ograniczający się zresztą do walk niepodległościowych, napotykamy w 8 filmach. Dawniej procent ten był znacznie wyższy, te zagadnienia były wówczas najbardziej kasowe. Passa minęła i w bieżącym sezonie temat ten nie będzie wcale reprezentowany. Tematy patrjotyczne były naogół pretekstem dla wyszukanych perypetyj miłosnych i niesamowitych dreszczów sensacji. Postacią bardzo fotogeniczną jest jak wiadomo szpieg. Tajemniczy ten osobnik dzięki swej romantycznej zbrodniczości i niebezpieczeństwu, na jakie się wciąż naraża, jest specjalnie mile widzianym bohaterem kinowym. W polskich filmach odnajdujemy go 10 razy — czy to pod ponurą maską prowokatora, czy w eleganckim garniturze „pana z dyplomacji". Motyw kobiety-szpiega zjawia się również w bieżącym sezonie pod tytułem „Szpieg w masce".

Poza religijnym wyjątkiem „Pod Twoją Obronę" i społecznym „Legjonem Ulicy" wszystkie tematy dają się zamknąć w tych ramach. Na plus można zapisać pozatem jedynie tło — poleski egzotyzm „Dzikich Pól" i górską scenerję „Białego Śladu". Jakże ujęte są w tych wszystkich 31 filmach sprawy patrjotyzmu, miłości i pieniądza? Ujęcie stanowi przecież o wartości. Niestety patrjotyzm ogranicza się do obrazowego sadyzmu — wspomnień znęcania się najeźdźcy nad narodem. Bohater - rewolucjonista ośmieszał pozatem sprawę walk o niepodległość prowadzonemi równolegle perypetjami miłosnemi z tą lub inną „królową ekranu polskiego". Przeszłość traktowana była w sposób uproszczony—bito nas i poniewierano, więc buntowaliśmy się, aby w nagrodę otrzymać dziewczę z polskiego dworku. Podejście do spraw miłości nie było wiele głębsze. Bohaterzy nękani byli kuszeniem miłosnem (Rańcewicz w „Puszczy"), lub popełniali z miłości występki („Niebezpieczny Romans" i „Biała Trucizna"). Miłość ujęta na poziomie piosenek Własta wiodła zwykle do konfliktów zasadniczych—nieślubne dzieci, prostytucja, handel żywym towarem czyhały zewsząd („Uwiedziona", „Rycerze mroku" etc.) Wszystkie te zagadnienia społeczne, tak ważne, traktowane tu były, jako murowana atrakcja i sensacja. Ani razu ich nie pogłębiono. Miłość występowała jako czynnik, fatalistyczny, rujnujący życie bohatera („Cham") lub jako balsam, leczący bóle niedostatku („Pałac na kółkach"). Szablonowość współczesnych tematów filmowych znalazła na terenie polskiego filmu wdzięczne pole do popisu. Wszystkie wady i śmieszności banału ujawniły się tu w pełni.

Oczywiście utwór filmowy jest tylko echem scenarjusza. Niejednokrotnie scenarjusz opierał się na powieści, czy dramacie, wówczas zniekształcenia były jeszcze jaskrawsze. Wśród 40 filmów, 13 oparte były na utworze literackim, częstokroć głośnym i wartościowym. Jeżeli jednak z noweli Żeromskiego powstał film „Wiatr od morza", a z noweli Sienkiewicza film „Janko-Muzykant" — wystarczy, znając te nowele i te filmy, stwierdzić na czem ten proces przeróbki polega. Jest to jaskrawa wulgaryzacja dzieła literackiego w pogoni za kasowym efektem.

Jednem z najbardziej charakterystycznych zestawień będzie zestawienie środowisk, w których rozgrywa się akcja naszych 40 filmów. Wnioski są bardzo smutne. 13 filmów obiera sobie jako środowisko męty wielkomiejskie. W 32% ogólnej liczby królują aferzyści, pośrednicy, złodzieje, prostytutki etc. Dno społeczne ukazane jest raz groźnie — raz śmiesznie, zawsze kusząco. 12 filmów rozgrywa się w środowisku wojska i policji. 30% produkcji idzie, jak widać, po linji „ducha czasów". Inne środowiska reprezentowane są skromnie: 2 filmy biorą sobie za tło arystokrację, 2 środowisko artystyczne, 2 — mieszczaństwo, 2 — inteligencję, 5 — środowisko ludowe i wreszcie 2 — proletarjat.

Ostatecznym rezultatem jest tu potworne zniekształcenie rzeczywistości polskiej.

Eugenjusz Cękalski

ODGŁOSY

KSIĄŻKA W WIĘZIENIU

Jedną z represyj, coraz częściej stosowanych w więzieniach, jest odbieranie więźniom książek. Za różne przewinienia nie mogą korzystać z bibljoteki więziennej, nie wolno im też dostarczać książek z domu.

Represja ta uważana jest za jedną z nienajsurowszych. Otóż w wielu wypadkach karę taką należy uważać za niewymownie ciężką. Może więźniowie, którzy na wolności nigdy nie czytali książek, znoszą tę represję mniej dotkliwie, choć i dla takich książka w więzieniu bywa wielką ulgą. Dla tych zaś, którzy na wolności żyli silniejszem życiem intelektualnem, niemożność czytania — w więzieniu, jest niezmierną męką.

Prawdopodobnie w życiu naczelników więzień książka nie odgrywa ważnej i wybitnej roli. Dlatego nie zdają sobie sprawy, jak okropną może być taka represja. Innemi słowy, zadają karę stokroć cięższą, niż im się to może wydawać.

Byłoby więc rzeczą słuszną i celową, żeby p. dyrektor departamentu więziennictwa, jeśli wogóle uważa tego rodzaju represję za niezbędną, pouczył naczelników więzień, że karę taką należy uważać za jedną z najsurowszych.

My, oczywiście, uważamy ją za całkiem zbędną. Nie należy się obawiać, że więźniom, którym pozwoli się czytać dowoli, będzie w więzieniu „za dobrze"...

GDZIE ISTOTNA NIEMORALNOŚĆ?

Oto nie imaginacyjny, ale najzupełniej autentyczny obrazek.

Przed jedną z wystaw z kinowemi fotosami stoi grupka uczniów, przyglądających się fragmentom jakiegoś obrazu. Przechodzący akurat przez ulicę policajnt ogląda fotosy, wzywa uczniów do rozejścia się, zdejmuje jedną z fotografij i „wygotowuje" protokół o obrazę moralności, jakiej dopuścił się dyrektor kina, wystawiając na widok publiczny demoralizującą scenę. Skutek: kara pieniężna administracyjnie wymierzona dyrektorowi kina.

Ale dyrektor apeluje do sądu. Apeluje tembardziej, że sam jest... *członkiem towarzystwa, mającego na celu opiekę nad zdrowiem moralnem młodzieży.* Jakże więc mógłby szerzyć niemoralność! Rozprawa. Policja oskarża, prokurator po zaznajomieniu się z fotosem popiera oskarżenie, a dyrektor zawzięcie broni się przed ciążącym nad nim zarzutem. Wreszcie sędzia, zbadawszy dokładnie fotosowe *corpus delicti*, wydaje wyrok uniewinniający: nie było obrazy moralności publicznej w tym fotosie.

W sprawozdaniach z tej sprawy tak pisały gazety: „Fotos dotyczył wyświetlanego filmu i wyobrażał siedzącą na kozetce parę bohaterów obrazu, Bessie Love miała przytem nóżki nieco odsłonięte powyżej kolan. Nad fotosem odbyła się zkolei dłuższa narada, połączona z roztrząsaniem jego wartości moralnej. Sąd uznał, że fotos nie przedstawia nic groźnego dla zdrowia moralnego młodzieży i oskarżonego uniewinnił".

Oto obrazek wymowny. Przedstawiciele władzy administracyjnej i prokuratorji dopatrują się w czemś obrazy moralności, a sąd stwierdza, że w tem „czemś" niema nic zdrożnego. Mamy wrażenie, że w tej całej „moralnej" fotosowej sprawie zabrakło jednego, może w tym wypadku najważniejszego i decydującego ogniwa: zeznań uczniów, którzy przyglądali się wystawie fotosów kinowych. Należałoby spytać, czy interesowały ich jedynie „nóżki nieco odsłonięte powyżej kolan" artystki filmowej, czy też może — nie zwracając wcale uwagi na nóżki — starali się odtworzyć w swej wyobraźni na podstawie owych fotosów treść wyświetlanego obrazu? Może oni, ci uczniowie, mogliby najlepiej powiedzieć o tem, czy ów fotos był groźny dla ich zdrowia moralnego, czy nie.

Pisałem niedawno w „Epoce" o filmach niedozwolonych dla młodzieży, starając się wykazać, jak elastycznem jest pojęcie „zdrowia moralnego młodzieży". Opinje moje znalazły całkowite potwierdzenie w tej rozprawie sądowej, gdzie opinja władz miarodajnych rozeszła się zupełnie w poglądach na temat tego zdrowia. Czegożby to miało dowodzić? Czy nie tego, że ustanowienie ogólnie obowiązującego kryterjum w tych „moralnych" sprawach jest rzeczą niezwykle trudną? W tych sprawach panuje zupełna dowolność tak zwanej „opinji publicznej". Wszystko zależy od poziomu i nastawienia moralnego tych, którzy uważają się za powołanych do strzeżenia moralności.

Od czasu do czasu w pewnych odłamach prasy, wybucha alarmowa kampanja przeciwko upadkowi moralności wogóle, a zwłaszcza moralności w życiu naszej młodzieży. Za czas dla takiej kampanji najodpowiedniejszy uważa się okres wzmożonych zainteresowań sportowych. Porusza się wówczas przedewszystkiem ulubiony temat: strój młodzieży, biorącej udział w ćwiczeniach gimnastycznych czy zawodach sportowych, jest niemoralny. Kostjum gimnastyczny czy kąpielowy szkodzi zdrowiu moralnemu młodzieży. Na tym koniku zwykło się wyprawiać najdziksze harce, jakdyby przyszłość i wartość moralna społeczeństwa zależeć miała od długości majteczek sportowych czy od „głębokości" wycięcia w kostjumie kąpielowym.

Żaden z tych katonów - moralizatorów nie zadał sobie widocznie trudu zbliżenia się do młodzieży i wniknięcia w jej nastroje. Gdyby tak zrobił — przkonałby się, że tych majteczek i kostjumów na boiskach czy na plażach młodzież wogóle *wcale nie widzi;* ona zajęta jest czemś innem zupełnie, ją interesuje przedewszystkiem „wyczyn" czy „rekord", a nie to, w jakim stroju występują zawodnicy i zawodniczki. To tylko ci purytanie moralni przyglądają się — łykając ślinkę — kostjumom i temu, co się pod kostjumami kryje; to dla nich — a nigdy dla młodzieży — stanowi dziedzinę zainteresowań.

Kiedy zaczęły wchodzić w modę nowoczesne „niemoralne", wywołujące w owych „sferach" tyle oburzenia, a dziś już ogólnie uznane tańce — jedno z pism urządziło ankietę między tancerzami i tancerkami, zapytując, czy taniec ten nie podnieca ich zmysłowo i czy nie wpływa na nich „demoralizująco". Odpowiedzi były mniej więcej zgodne: podczas tańca zwraca się uwagę przedewszystkiem na jego poprawne i artystyczne wykonanie — wszystko inne wówczas nie istnieje. Niewątpliwie tak samo brzmiałyby odpowiedzi młodzieży na temat „demoralizującego" wpływu kostjumów kąpielowych czy sportowych.

Słyszałem, jak jeden ze starszych panów podczas dyskusji na temat niemoralności krótkich sukien damskich opowiedział, jak to kiedyś, przed wielu, wielu laty, kiedy był jeszcze młodym studentem, spotkał w dżdżysty dzień jakąś panienkę, która uniosła suknię tak, że widać było dolną część łydki. Za tą odsłoniętą niechcący łydką powędrował z Nowego Światu aż na Pragę. Dziś spewnością żaden ze studentów nie powędruje za łydką, albo „nieco odsłoniętemi powyżej kolan" nogami artystki filmowej. Dziś to już nie stanowi owocu zakazanego i dlatego właśnie straciło swą siłę atrakcyjną. Dziś krótka suknia nie jest występkiem przeciwko moralności publicznej i nikogo nie zdemoralizuje.

I znowu zapytamy: czegoż to dowodzi? Czy nie tego, że nastawienie moralne decyduje o sądzie moralnym, wydawanym w rozmaitych materjach? I czy nie tego, że obłudne węszenie na każdym kroku demoralizacji wzbudzić musi pewne podejrzenia co do istotnej wartości moralnej węszących?

Zygm. Michałowski.

DOM WARJATÓW

W notatce p. t. „Dom warjatów" pisze tygodnik *„Nowe Pismo":*

„W ciągu ostatnich dwóch z połową lat (ściśle od 1 stycznia 1931 do 30 czerwca 1933 r.) zostało zniszczonych w Brazylji 19 i pół miljonów worków kawy.

Ponieważ świat cały konsumował za dobrych czasów 23 miljony worków kawy rocznie, zniszczona ilość odpowiada mniej więcej światowej konsumcji jednego roku.

Ale i to jeszcze nie wystarcza. Zostały już powzięte zarządzenia w celu zniszczenia w roku bieżącym jeszcze 12 miljonów worków kawy.

A teraz Stany Zjednoczone.

Zgodnie z planem Roosevelta, który wielu wydaje się wzorem gospodarki planowej — w ciągu ostatnich miesięcy zniszczono plantacje bawełny, których plon wyniósłby od dwóch do trzech miljonów pak bawełny. Wynosi to mniej więcej 20% całkowitego zbioru bawełny.

Niezależnie od powyższego używa się nadal zboże na opał w Kanadzie, zabija się bezużytecznie barany w Australji, w środkowej Ameryce niszczy się olbrzymie zapasy bananów, pali się bawełnę w Egipcie, wrzuca się do morza zbyt obfity połów śledzi i t. d. i t. d...

A na świecie 30 miljonów bezrobotnych, sto miljonów ludzi pozbawionych możności najedzenia się do syta, odziania się i ukrycia się przed nadchodzącą zimą...

SPOJRZENIE W PRZYSZŁOŚĆ

Wśród prac publicystycznych prezydenta Roosevelta najgłośniejszą jest książka p. t. „Looking forward" (Spojrzenie w przyszłość). Książka ta pisana była w okresie agonji hooverowskiej prosperity i stanowiła próbę rewizji układu stosunków ekonomicznych i społecznych w Stanach Zjednoczonych. Przytaczamy z książki tej fragment, który rzuca światło na zamierzenia i projekty, realizowane obecnie przez Roosevelta i jego „trust mózgów":

„Przeważna część naszych maszyn i naszych wielkich zasobów jest w obecnej chwili bezczynna. Miljony mężczyzn i kobiet, silnych i inteligentnych, znajduje się w skrajnej nędzy. Nie potrafimy wprawić w ruch maszyny ekonomicznej, którą sami stworzyliśmy. Podsuwają nam niezliczoną ilość rad. Jedni twierdzą, że osłabnięcie i zwolnienie biegu życia gospodarczego jest zjawiskiem normalnem, które należy przetrwać; wszelkie środki zaradcze pogłębią jedynie wstrząs. Według tej teorji, jeśli zachowamy uśmiech i wytrwamy, wówczas maszyna ekonomiczna odzyska szybkość i, w nieoznaczonej bliżej liczbie lat — osiągnie maximum obrotów. Będziemy wówczas świadkami powrotu prosperity... To stanowisko i taki sposób rozumowania wymaga stoicyzmu, przekraczającego moje zdolności w tej dziedzinie oraz wiary, przewyższającej znacznie moje zaufanie do stałości praw ekonomicznych. Jakakolwiek byłaby część prawdy, zawarta w tej teorji, pozostaje ona wezwaniem do — wytrzymałości i bezczynności. Cierpimy dziś właśnie z tego powodu, że ta koncepcja zakorzeniła się głęboko w umyśle tych, którzy stoją na czele naszego życia finansowego i politycznego.

„Nasi uczeni-ekonomiści widzą źródło zła w trudnościach, wyłonionych przez wojnę światową, w powstałych po jej zakończeniu problemach finansowych, politycznych i gospodarczych, do dziś nierozwiązanych. Inni przypisują nasze kłopoty wadliwości różnych systemów monetarnych, stosowanych na świecie.

„Jest rzeczą bezsporną, że nastąpiła zupełna zmiana siły nabywczej naszego pieniądza. Niezależnie od tego, czy pozostaje ta zmiana zasadniczą przyczyną kryzysu, czy też jedynie go pogłębia lub stanowi tylko jego następstwo — należy gruntownie zbadać jej podłoże oraz doprowadzić ceny do poziomu z przed kilku lat... Zaabsorbowani zawiłością tego problemu, przeoczyli nasi myśliciele inne, niemniej ważne, części tego zagadnienia. Mojem zdaniem, należy tu przedewszystkiem pomyśleć o kontroli produkcji i rozdziału dóbr, które nasza olbrzymia maszyna ekonomiczna rzuca na rynek.

„Nie pomniejszam użyteczności kapitału, ani przedsiębiorczości i inicjatywy. Pomyślcie jednak o fantastycznych sumach, wydanych na bezużyteczne imprezy, na rozwój pobocznej, akcesoryjnej wytwórczości, na pomnożenie produktów w proporcji, przewyższającej znacznie zdolności nabywcze i chłonność kraju...

„W dziedzinie przemysłu i handlu wielu z pośród tych, których troska ogranicza się do prosperowania kapitału, zapomniało o nauce, udzielonej przez wydarzenia ostatnich lat. Nie interesuje ich analiza potrzeb narodu, pojętego jako całość. Są gnani ślepą żądzą uratowania indywidualnych stawek i wkładów, które umieścili w życiu ekonomicznem.

„Nie twierdzę bynajmniej, że osiągnęliśmy już kres naszej ekspansji. Będziemy nadal odczuwali potrzebę kapitałów dla sfinansowania nowych wynalazków, dla zamiany naszych urządzeń wytwórczych, zużytych lub nieużytecznych w następstwie postępu techniki. Znajdzie się wiele jeszcze pracy dla tych, którzy będą nas odziewać, strzec naszego zdrowia, dbać o nasz dobrobyt zarówno materjalny jak moralny. Przeważna część miast domaga się naprawy domów. Wiele okolic potrzebuje liczniejszych i lepszych dróg. Istnieje pilna potrzeba urządzenia kanałów, śluz i poczynienia znacznych wkładów materjalnych w wielu dziedzinach...

„Mimo to, wydaje mi się, że rozwój naszej ekspansji materjalnej i ekonomicznej w przyszłości nie będzie się odbywał w tem samem tempie, co dawniej. Wybudujemy prawdopodobnie nowe fabryki, lecz jest faktem bezspornym, że posiadamy wystarczającą ich ilość dla zaspokojenia naszych potrzeb. Wytwarzamy dziś nadmierną już ilość butów, stali, radjoaparatów, których nie możemy zużytkować.

„Wstrząśnienia naszego systemu ekonomicznego nie pochodzą z niedoboru kapitału. Ich podstawową przyczyną jest wadliwy rozdział siły nabywczej, który łączy się z nadużyciami spekulacji wytwórczej. Wzrost płac nie pozostaje w żadnym stosunku do tempa, w jakiem pomnaża się kapitał. Skurczyła się zdolność nabywcza najliczniejszych warstw. Jednocześnie, skupiliśmy taki nadmiar kapitałów, że nasi bankierzy rywalizowali z sobą dla użyczenia ich krajowi lub zagranicy.

„Wierzę, że znajdujemy się obecnie u progu całkowitej przemiany naszych poglądów ekonomicznych. Jestem przekonany, że mniej będziemy w przyszłości myśleli o wytwórcy, a więcej o nabywcy. Warunkiem ocalenia naszego systemu ekonomicznego jest racjonalniejszy i sprawiedliwszy podział dochodu narodowego.

„Należy zapewnić ludziom, którzy chcą i mogą pracować, minimum egzystencji. Płace robocze muszą wzrosnąć, zysk z kapitału — ulec zmniejszeniu.

„Kraj nasz domaga się i żąda śmiałych, nowych eksperymentów. Rozsądek nakazuje wybór metody i jej wypróbowanie. Jeśli zawiedzie, należy zastosować inną. Lecz przedewszystkiem, należy działać, próbować. Miljony nędzarzy nie pozostaną zawsze spokojne, gdy po rzeczy, które mogą zaspokoić ich potrzeby, wystarczy im sięgnąć ręką".

PRZYCZYNKI DO SPRAWY REFORMY OBYCZAJÓW

MATKI NIEŚLUBNE

Otrzymaliśmy list następujący, który podajemy, jako wymowny dokument krzywdy ludzkiej.

Mam lat 21 i od dwóch lat jestem matką nieślubną. Artykuł w „Epoce", nawołujący do tworzenia poradni dla matek nieślubnych, wzbudził we mnie chęć nieodpartą, by napisać do Redakcji list z podziękowaniem.

Podziękować pragnę Szanownemu Panu, że „Epoka" — jako jedyne dotychczas pismo w Polsce — podniosło głos w obronie tych najnieszczęśliwszych i najbezbronniejszych wśród pokrzywdzonych i upokorzonych: matek i dzieci nieślubnych. Prosiłabym również, by Pan Redaktor zechciał podziękować w mojem imieniu, matki nieślubnej, a więc istoty stojącej w czasach dzisiejszych poza prawem i poza społecznością czcigodnych i uznanych w towarzystwie kobiet, — autorce artykułu za jej zasługujący na najwyższe poparcie projekt poradni dla matek „nielegalnych"*).

Przedewszystkiem jednak i najgoręcej — o ileby me słowa do niej kiedykolwiek dojść mogły — chciałabym podziękować pani Janinie Ryngmanowej, tej kobiecie o wielkiej dobroci i szlachetności, z której pomocy i rady korzystałam tylokrotnie, wśród wielu innych setek matek nieślubnych, w Domu Wychowawczym imienia Boduena, gdzie maleństw nieślubnych jest przeszło tysiąc.

Jest to już dwa lata temu, a pamiętam, jakby było wczoraj, z jakim naprawdę zamierającym oddechem oczekiwałyśmy każdorazowo na przyjście „naszego najdroższego mecenasika", jak ogólnie nazywałyśmy panią Janinę. Wiadomość o każdej Jej wizycie roznosiła się wśród matek, po olbrzymim gmachu, lotem błyskawicy: już jest, już przyszła! O ile nie mogłyśmy z powodu obecności siostry zakonnej w pokoju podać sobie szeptem tej wieści, to poza plecami zakonnicy dawałyśmy znak umówiony, robiąc palcem wskazującym prawej ręki ruch pisania na dłoni lewej: „tajna kancelarja".

O działalności tej „tajnej kancelarji" chcę opowiedzieć, bo przecież była to właśnie, choć tajna, ale najprawdziwsza poradnia dla matek nieślubnych, funkcjonująca nadzwyczaj sprawnie, mająca stale mnóstwo klijentek. Pozostało mi po niej żywe, pełne wdzięczności wspomnienie, jako po najbardziej humanitarnej, a najbardziej potrzebnej z pośród tych wszystkich instytucyj, o których kiedykolwiek w życiu słyszałam. Być może przydadzą się kiedyś te informacje, jako materjał w podjętej walce o poradnie dla matek niezamężnych.

Było to zimą 1931 na 1932 rok. Jakim sposobem znalazłam się — ja, córka ziemiańskiego domu, z celującą maturą, której na uniwersytecie po referatach seminaryjnych koledzy przepowiadali karjerę naukową — wśród „karmicielek" (tak brzmiała nasza oficjalna nazwa) w Domu dla Podrzutków, gdzie wstydziłam się śmiertelnie przyznać komukolwiek — poza „tajną kancelarją" — że jestem studentką? Jak to zwykle w takich razach z osiemnastoletniemi a zupełnie nieobytemi w sprawach seksualnych dziewczętami bywa: „on" przysięgał mi, że mnie uwielbia „jak istotę najświętszą", a gdy zaszłam w ciążę, przestał mnie nawet poznawać na ulicy.

Nie miałam co zrobić z mą „hańbą", nikogo na całuteńkim świecie, komu mogłabym mą straszliwą tajemnicę zawierzyć. Nie miałam również skąd wziąć 500 zł., za którą to opłatą można dziecko nieślubne umieścić samo, bez matki, w Domu Wychowawczym. Zaprzedałam się więc na 6 miesięcy na „karmicielkę", uzyskując wzamian to, że, gdy po półrocznej kwarantannie wyszłam z tych straszliwszych, niż więzienne, murów, mogłam już dziecko bezpłatnie pozostawić. Życie za murami Domu dla Podrzutków? Każda z nas karmiła conajmniej dwoje dzieci, a opiekowała się conajmniej pięciorgiem. Wstawało się o 6-tej, szło na spoczynek o 11-ej, spało na korytarzu, ciaśniutko, łóżko przy łóżku. Chodziłyśmy wszystkie ubrane w jednakowy strój „dla służących", prymitywny a wyjątkowo nieestetyczny, w którym każda wyglądała, jak „kulfon", w fartuchach i zawojach na głowie. Roboty było tyle, że od rana do wieczora nie sposób było choć na chwilę spocząć: sprzątanie w gmachu i koło dzieci, (a maleństwa zanieczyszczały się przecież co chwila), wielokrotne dziennie karmienie „ssaczków" piersią, a starszego drobiazgu łyżeczką, przyczem przed i po każdem jedzeniu „ssaczek" był ważony, podawanie maleństw codziennie do wizyt lekarskich i do opatrunków itd. Jadło się na koszarowych miskach, operując łyżką i rękoma, przykucając w pośpiechu na podłodze korytarza. Gdy chciałam choć z kwadrans poczytać gazetę lub książkę, dostarczane z „tajnej kancelarji", zamykałam się w miejscu ustępowem.

Każdy zwracał się do nas na „ty", a zakonnice traktowały nas, jako „dziewczyny upadłe". W oczach administracji gmachu byłyśmy jedynie bezpłatnemi, bo pracującemi właściwie tylko za utrzymanie, służącemi do wszelkich nawet najcięższych posług, przyczem do jednakowej z pozostałemi „karmicielkami" pracy stawać musiały i te matki, które przychodziły do nas prosto z kliniki położniczej, całe jeszcze krwią ociekające. W oczach lekarzy byłyśmy przedewszystkiem (piszę zgodnie z prawdą, choć jest to we wspomnieniu tak poniżające dla godności własnej) „krowami ludzkiemi", niezbędnemi, jako dostarczycielki pokarmu dla niemowląt. Gdy której mleka w dostatecznej ilości zbrakło, podpisywano natychmiastowy wyrok: „niezdolna na karmicielkę", i choćby to było w najsroższą zimę, w najcięższą zawieję, choćby wyrzucana dziewczyna — nie mając grosza przy duszy i nigdzie schronu i oparcia — ryczała z rozpaczy, jak zarzynane zwierzę, usuwano ją, nieraz nawet przy pomocy woźnych, poza bramę gmachu. Pozatem nie interesował się nami nikt i nigdy, pamiętano jedynie byśmy dla zbawienia duszy tak grzesznej, a plugawej chodziły często, a regularnie do spowiedzi.

Jakżeż na tem tle koszmarnem odbijała szlachetna postać pani Ryngmanowej! Do każdej z nas mówiła: „Pani", każdej podawała na przywitanie i pożegnanie rękę, każdą interesowała się, jak rodzona matka, a co najważniejsze i najcudowniejsze, a co czułyśmy tak wyraźnie na każdym kroku, każdą traktowała, jako zupełnie sobie równego człowieka! To

*) *Przypisek Redakcji:* artykuł p. Wandy Zielińskiej p. t. „Droga ratunku" w 29 (42) n-rze „Epoki".

też cieszyła się naszem zaufaniem bezgranicznem! Pamiętam raz taką w mej obecności rozmowę, gdy jedna z „karmicielek" dawnych uświadamiała nowoprzybyłą o działalności „tajnej kancelarji": „Tam możesz lepiej wszystko wyznać, niż na świętej spowiedzi. Bo ksiądz uzna cię za grzeszną, parszywą, a tam odniosą się do ciebie, jak do człowieka nieszczęśliwego. Chcesz mieć kiedykolwiek radę, masz jakąkolwiek sprawę do załatwienia — to idź do „tajnej kancelarji". Chcesz wyprocesować alimenta od „twego", chcesz mieć list napisany, skomunikować się z rodziną, czy z kimkolwiek z poza Domu, chcesz dowiedzieć się czegokolwiek, załatwić cokolwiek na mieście — to idź do „tajnej kancelarji".

Tu w „tajnej kancelarji" panowała naprawdę atmosfera cudotwórcza! Jak umiano do każdej przemówić, jak podnieść na duchu w chwilach najczarniejszej rozpaczy, jak umocnić zpowrotem w całkowicie zdruzgotanem poczuciu godności własnej. „Hallo, dziewczyno, głowa do góry! Dlaczego czujesz się upokorzoną? Żyjemy w czasach tak nadzwyczajnych, że szkoda każdej chwili, w której nie przygotowujemy się do wielkich czynów i wielkich myśli. Spotkała cię na progu życia straszna niesprawiedliwość osobista i społeczna, to prawda, lecz cóż z tego? Niesprawiedliwość łamie tylko ludzi słabych, wartościowych pobudza właśnie do największych wysiłków, najszlachetniejszych czynów, najbezinteresowniejszej walki i ofiary. Najcięższy nawet błąd życiowy nie jest nigdy ostateczną klęską, uczy tylko mądrości na przyszłość, a mądrość życiowa to największa siła człowieka, skarb niezastąpiony. Klęski osobiste i społeczne trzeba umieć sublimować, przeistaczać w wielkie zwycięstwo". Nie zapomnę do końca życia tych słów pani Ryngmanowej, które powiedziała mi w chwili takiej depresji, że nie widziałam nic przed sobą prócz konieczności samobójstwa.

„Tajna kancelarja" funkcjonowała tylko przez miesięcy parę, gdyż tylko na taki okres czasu uzyskał „nasz najdroższy mecenasik" od Zarządu Domu Wychowawczego prawo wolnego wstępu do gmachu, w celu przeprowadzania badań naukowych nad dziećmi. Obserwacje swoje prowadziła „pani Janeczka" na jednym tylko oddziale, lecz z błogosławionej, chyba przez żadną z jej klijentek nigdy niezapomnianej, działalności „tajnej kancelarji" korzystały matki ze wszystkich oddziałów.

Czytałam kiedyś wzruszający opis, jak adwokaci Śmiarowski, Berenson, Sterling i inni przychodzili ratować więźniów politycznych, wyrywać ich ze szponów śmierci. Myślałam sobie wówczas, że działalność „tajnej kancelarji" była w naszej, nieślubnych matek, świadomości bodaj bardziej jeszcze wzruszająca. I my byłyśmy więźniami, bo w obawie zawleczenia choroby zakaźnej do niemowląt nie mogłybyśmy, przez cały czas pobytu w Domu Wychowawczym, wyjść nawet poza jego bramę. Lecz tamci, więźniowie polityczni, mieli świadomość, że są bohaterami, byli otoczeni w oczach najlepszych ludzi Polski aureolą męczeństwa i najwyższej z całego życia ofiary. Zaś atmosfera, panująca w Domu Wychowawczym, czyniła z nas „upadłe", „trędowate moralnie" wyrzutki społeczne. A czekała nas gorsza od fizycznej, bo śmierć cywilna; zdawałyśmy sobie dobrze z tego sprawę, że matka nieślubna stoi w czasach dzisiejszych poza „normalnem" społeczeństwem. Przyczem każda iść musiała w życie ze straszliwą, druzgocącą tajemnicą, że unieszczęśliwiła najokrutniej swe rodzone dziecko, dając mu piętno „bękarta" na drogę życiową, i że do niego się głośno nawet przyznać nie może. Ze szponów tej najstraszliwszej, bo moralnej krzywdy, ratowała nas jedynie, ratowała jakże skutecznie „tajna kancelarja". Co do mnie osobiście, to muszę podkreślić z całą mocą, że o ile z upiornych murów Domu dla Podrzutków wyszłam zgaszona coprawda całkowie w mej radości życia, lecz z duszą zdrową, to zawdzięczam to wyłącznie i jedynie działalności „tajnej kancelarji".

Panie Redaktorze! Niech Pan nie ustaje w raz rozpoczętej walce w obronie matek i dzieci nieślubnych! Tysiące matek, dziesiątki tysięcy dzieci będą za to wdzięczne. Sprawa poradni dla matek nieślubnych to dla tysięcy istot w Polsce sprawa naprawdę wagi pierwszorzędnej.

Infama

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

PIERWSZE PIĘTNASTOLECIE

Cenną i bardzo pożyteczną książkę napisał p. Henryk Swoboda*): zarys dziejów politycznych Polski niepodległej, od listopada 1918 r. do chwili bieżącej. Rzecz to pracowita, obficie udokumentowana, uczciwa. Czy objektywna? Na to pytanie odpowiada sam autor w przedmowie:

„Niema idealnej bezstronności, każdy patrzy na dzieje z jakiegoś stanowiska. Historyk w wyrażaniu swej opinji, w doborze faktów, w ocenie wydarzeń nie może oderwać się od platformy, na której stoi. Nie potrafi zapomnieć o swym światopoglądzie, choćby udawał przed samym sobą, że to czyni. Ale jeżeli nie istnieje bezwzględny objektywizm, możliwy i potrzebny jest w pracy tego rodzaju objektywizm względny. Poprostu — umiar. Pragniemy zdobyć się w tej pracy na chłodny, beznamiętny sąd o ludziach i wypadkach. Nie mamy bowiem na celu służyć agitacji i propagandzie. Przyświeca nam jedynie wysiłek wydobycia prawdy na wierzch".

Stwierdzić należy, iż ów objektywizm, który p. Swoboda nazywa poprostu umiarem, został w tej pracy zachowany. Oblicze polityczne autora jest wyraźne, stosunek do opisywanych wydarzeń — całkiem jasny, ale to nie znaczy, żeby te wydarzenia naginał do swoich przekonań, albo, żeby ludzi z nieprzyjaznego czy wrogiego obozu charakteryzował w sposób tendencyjny. Niema w książce p. Swobody trywialnej agitacji, niema taniej demagogji. Dlatego powiedzieliśmy, że jest to praca uczciwa. Naświetlanie tej lub innej sprawy może być, oczywiście, przedmiotem dyskusji, nikt jednak nie zarzuci p. Swobodzie zniekształcenia faktów, przeinaczenia rzeczywistości.

W sumiennym konspekcie nie ominął p. Swoboda niczego, co w naszych dziejach politycznych tego piętnastolecia miało istotne znaczenie. Nazywamy pracę p. Swobody konspektem, chociaż to książka o zgórą 400 stronicach. Nasze jednak życie polityczne było w tym okresie tak bogate, obfitowało w tyle wydarzeń i zmian doniosłych, że opis historyczny, w jednym tomie zawarty, mógł być ujęty

*) *Henryk Swoboda:* Pierwsze piętnastolecie Polski Niepodległej (1918 — 1933). Zarys dziejów politycznych. Nakładem Spółki Wydawn. „Robotnik", Warszawa 1933.

tylko w skrótach. I pod tym względem pracę swą wykonał p. Swoboda w sposób wysoce umiejętny.

Nasza literatura polityczna, poświęcona tej epoce, nie jest zbyt obfita. Pisma Józefa Piłsudskiego, wspomnienia Bilińskiego, Grabskiego, Dąbskiego, Daszyńskiego i Dmowskiego dotyczą albo dziedzin i spraw poszczególnych, albo pierwszych lat niepodległości. Prace historyczne Kutrzeby i Bobrzyńskiego obejmują również początkowy tylko okres Polski niepodległej. Poraz pierwszy w książce p. Swobody znajdujemy streszczenie całych dziejów ostatniego piętnastolecia.

Źródła zostały tu wyzyskane możliwie wszechstronnie, a więc: wydawnictwa rządowe, komunikaty, sprawozdania parlamentarne, enuncjacje stronnictw, prasa oraz książki wspomnianych autorów. Podział racjonalny na rozdziały następujące: 1) Okres tworzenia i utrwalania form politycznych (listopad 1918 — marzec 1921), 2) Okres parlamentaryzmu i stabilizacji gospodarczej (marzec 1921 — maj 1926), 3) Okres walk między rządem a sejmem (maj 1926—sierpień 1930) i 4) Okres jedynowładztwa i kryzysu gospodarczego.

Przesuwają się tu przed nami, jak w kalejdoskopie, wszystkie nasze tarcia, konflikty i walki polityczne, czasem śmieszne i żałosne, niekiedy zaś wielce dramatyczne. Uprzytamniamy sobie przeszłość tak niedawną, odświeżamy w pamięci rzeczy ważne i pouczające, o których się tak prędko w naszych gorących czasach zapomina. A działo się tyle rzeczy i tak ważnych, iż często ogarnia nas zdumienie, że to dopiero lat piętnaście. P. Swoboda ułatwia nam zrekonstruowanie niedawnej przeszłości, która działa nadal przez swoje skutki i owoce. Nic bardziej pouczającego, niż taka rekonstrukcja.

M. Czarnowski

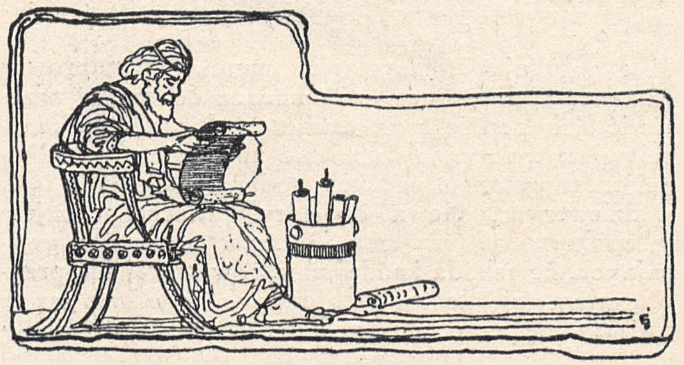

MNIEJ NIŻ PRZEDMIEŚCIE

Mój przyjaciel wyjechał na urlop do Paryża, a ja do Chodcza. Paryż nic nie wie o Chodczu, ale Chodecz wie dużo o Paryżu. Jest w tem jednak pewna wyższość Chodcza nad Paryżem. Po powrocie z urlopu mój przyjaciel będzie mówił: „podczas mego pobytu w Paryżu...", a ja: „podczas mej bytności w Chodczu..." Tutaj zwycięży Paryż. W ten sposób wartości tych dwóch miast się zrównoważą.

Chodecz jest jednak bardzo ciekawem miastem. Jest w niem cisza — i spokój aż niepokojący. Tutaj życie wlecze się leniwie i sennie, ale i dziwnie. Czas jedzie chłopską furmanką. Dłuży się. Tutaj ludzie—tak mi się zdaje—nażywają się do syta. Bo właściwie, czasami, czuć, że się żyje, to znaczy znudzić się porządnie. A nuda — łagodna i pogodna jak błękitne niebo — panuje niepodzielnie w poważnem mieście Chodczu. Gdzieś tam głęboko, pod spodem kłębi się zapewne nurt wysiłku, troski i cierpienia, ale powierzchnia jest gładka i spokojna.

Wogóle tutaj nie czuje się pracy. Bo czy można nazwać pracą to, że pan Zakrzewski, właściciel piwiarni, siedzi cały dzień na ławce przed swoim interesem i bawi się z małą suczką psotką, która umie służyć i przynosić rzucony daleko kamień? A jak przyjdą goście, to przecież pan Zakrzewski także nie pracuje, tylko poda im piwo i kawałek kiełbasy na startym rękawem talerzu, a potem siada razem przy stoliku i tak wszyscy sobie gawędzą o polityce i kryzysie. Pan Lach ma sklep bławatny, ale też w nim nie siedzi, bo duszno. Klijenci to „strachy na Lachy", — więc pan Lach siedzi na ławeczce, skąd widać cały Rynek, na którym przecież coś się dzieje. Ot, wczoraj np. pijany włóczęga zaczepił na Rynku p. Burmistrza. Było zbiegowisko. Przyleciał komendant posterunku. Długo mówił o tym wypadku przed sklepem pana Lacha. Na Rynku ma również postój autobus, kursujący na linji Chodecz—Włocławek. Autobus — okno na świat miasta Chodcza.

Autobus obsługuje mrukliwy szofer, który rozpuszcza pysk po warszawsku tylko wtedy, jak fura nie chce mu zjechać z drogi i p. Gołębiowski, konduktor. P. Gołębiowski jest bardzo rozmowny, bardzo wesoły i bardzo lubiany. Całe miasto go zna. 2.000 mieszkańców. Wszyscy przez niego załatwiają interesy w Włocławku. Wystarczy iść z panem Gołębiowskim na małe piwo do pana Zakrzewskiego, to potem już przez pół roku pan Gołębiowski wszystko będzie z ochotą załatwiał.

Wczoraj prosiłem pana Gołębiowskiego, żeby mi kupił na prezent dla pani Kierownikowej (dziś są jej imieniny) książkę Russella „O wychowaniu". Przywiózł. 6 zł. „Cholernie drogo — powiada. Targowałem się, ale nie pomogło. Ale była heca, panie, w księgarni, bo jak mi powiedzieli sześć złotych, to ja im, że ja nie frajer, że rok temu, jak było wszystko drożej, kupiłem za półtora złotego dwa razy grubszą książkę i tak drobno drukowaną, że było w niej z dziesięć razy tyle napisane co w toty. A był w księgarni jeden ksiądz, proboszcz z Kruszyna, to tak się śmiał, że aż za brzuch się trzymał. I te panny z księgarni rechotały. Taka heca była. Takem zegrał warjata, bo przecież ja nie frajer, wiem, że książki to nie na wagę, ino jak do książki. O panie, co ja książek przeczytał. Jak my w Modlinie stali..."

— Bardzo dziękuję panu, panie Gołębiowski. Może papierosika?

I rozmowa zeszła na gilzy, jakie lepsze. Czy te siarkowane, czy te glicerynowane.

— Jakem był w Bydgoszczy, com jeździł z rodziną pana Burmistrza na pogrzeb jego ojca, to..

Pan Gołębiowski jest bardzo rozmowny. Ale najwięcej lubi mówić o autobusie.

— Jak my byli w Warszawie z jednym nieboszczykiem, to ci była heca, bo benzyny nam brakło i ustalim w drodze, a pogrzeb był naznaczony na godzinę. Ale jakem potem dali gazu, to trumna tak skakała na dachu, że myślelim, że nieboszczyk ożyje i pogrzebu wcale nie będzie.

Wesoły człowiek. Nawet z trumny wykrzesze dowcip.

Trumny są wogóle rzeczą zwyczajną w Chodczu i nie robią wrażenia. Nie dlatego, żeby tu ludzie często umierali, — przeciwnie, śmierć chodecka jest bardzo leniwa i siedzi, ziewając, na ławce przed cmentarzem, — ale trumny stoją w Chodczu na ulicy. Tak. Dziwne miasteczko. Trumna jest tutaj godłem stolarza i zastępuje szyld. Gdzieindziej jest namalowana szafa albo stół i napisane: „zakład stolarski", a tutaj nie, tylko jest wystawiona na chodnik, albo przywieszona nad drzwiami biała dziecinna trumienka i to znaczy, że w tym domu jest stolarz, który przyjmuje „wszelkie roboty w zakres stolarstwa wchodzące". Dlaczego akurat trumna? Nie mogłem się dowiedzieć. Może dlatego, żeby dzieci miały na czem okrakiem siadać i bawić się w konną jazdę?

***

W środę ożywia się miasto, bo w środę są jarmarki. W środę pan Lach i pan Zakrzewski nie siedzą na ławeczkach, a psotka chodzi samotna i osowiała. Na jarmarku jest wszystko, dosłownie wszystko, oprócz tych rzeczy, po które jednak trzeba jeździć do Włocławka, względnie o których kupienie trzeba prosić pana Gołębiowskiego. Są na jarmarku chodeckim nawet takie rzeczy, których nie można dostać w największym magazynie warszawskim. Np. pijawki. Czy jest w Warszawie sklep z pijawkami? A tutaj za 50 groszy można dostać całą butelkę pijawek. W butelce jest 10 sztuk. Więc 5 groszy za sztukę. Pewnie, że to nie jest tanio, ale zdrowie ważniejsze. A pijawka w każdej chorobie pomaga, bo ściąga zepsutą krew. Tylko ją trzeba dobrze i we właściwem miejscu przystawić i czekać aż sama odpadnie. Następnie trzeba ją zanurzyć w soli i palcami wycisnąć z niej krew, to potem znowu można ją przystawić. Więc wydatek jest właściwie jednorazowy.

Jarmark jest domem handlowym, w którym zaspakaja swe potrzeby nietylko Chodecz, ale przedewszystkiem okolica: — wieś. Dlatego też głównym artykułem sprzedaży jest obuwie i odzież, bo chłop nie lubi przyodziewku kupować w sklepie. Na jarmarku czuje się tak jakoś swojsko, kupowanie jest tutaj jakby rozrywką, jakby świętowaniem i wreszcie ceny są możliwe. Możliwe dla niego, a w gruncie rzeczy fantastycznie, niepokojąco niskie. Np. ubranie. Nie mogąc podsłuchać ceny, wchodzę pod jeden z namiotów ubraniowych w roli kupującego. Żyd odrazu ocenił mnie jako lepszego gościa:

— Pan dziedzic sobie życzy?

— Chciałem kupić garnitur, ale nie wiem, czy pan będzie miał odpowiedni.

— Dlaczego? Mam coś specjalnie dla pana dziedzica. Najlepszy gatunek, paryski fason.

Oglądam normalny garnitur granatowy, podobny do tego, w którym chodzę do biura i za który zapłaciłem 160 zł. Tak na oko żadnej różnicy niema.

— No, ile?

— 40 złotych i niech się dobrze nosi.

Nagle zrobiło mi się głupio, że nie mając zamiaru kupić, daję życie zgóry na śmierć skazanej nadziei kupieckiej, więc przerwałem pertraktacje i powiedziałem krótko:

— Nie kupię.

Kupiec garnitur wraz z nadzieją powiesił na drążku i spokojnie, bez żalu powiedział:

— Ja wiedziałem, co pan dziedzic nie kupi. Takie panowie ubrania na jarmarkach nie kupują.

Właściwie to rzeczywiście dla „takich panów" nic niema na jarmarku. „Takie panowie" mogą występować tylko w roli widzów i obserwować jak pięknie, jak obrzędowo „ludzie" kupują na jarmarku. Jak oglądają, jak ważą w rękach, jak macają, jak próbują. Np. takie grabie. Zdawałoby się wystarczy powiedzieć: poproszę o grabie, — wziąć, zapłacić i odejść. Nie, tu nie. Najpierw trzeba postawić trzonkiem na ziemi, — czy sięgają nad głowę, potem machnąć jak batem, — czy trzonek jest „wiśny" a potem, trzymając prawą rękę za koniec, puszczać rzutami przez niezaciśniętą lewą dłoń, żeby sprawdzić, czy są „do ręki".

Wieczorem zostaje po jarmarku kurz, koński nawóz i dzieci, które chodzą po Rynku jak po pobojowisku. Dzieci jest tutaj bardzo dużo. Coś przecie trzeba z nudów robić w mieście Chodczu, więc robi się dzieci. Małych marzycieli, którzy śnią o porcji lodów za 5 groszy i o odpuście.

***

Moi młodzi przyjaciele, 6-letni Dzidek (filozof) i 8-letnia Hanka (djabeł) położyli się wcześniej spać, żeby prędzej było jutro. Jak już tak będzie, że jutro będzie dziś, to będzie odpust. Zapytałem Dzidka:

— Czy ty wiesz, co to jest właściwie odpust?

— Wiem.

— No, co?

— No, karuzela.

Definicja odpustu podana przez młodocianego myśliciela jest bardzo trafna, aczkolwiek nie zgadza się z definicją katechizmową. Tak. Odpust to karuzela. Oczywiście użyte przez młodego filozofa słowo karuzela należy rozumieć nietylko dosłownie, ale i przenośnie. Jest to bowiem definicja poetycka, dążąca do skrótu i syntezy.

Już o 7-ej rano Hanka zginęła z domu. O dziesiątej wpadła na śniadanie.

— Wujek, na lwie kosztuje 15 groszy.

(„Na lwa srogiego bez obrazy siędziesz i na ogromnym smoku jeździć będziesz").

— Jeździłaś na lwie? — pytam.

— Nie, na bryczce, bo miałam tylko 10 groszy.

— No, to coś robiła przez 3 godziny?

— Patrzyłam.

— Na co?

— Na karuzelę i na wszystko.

Dopiero po obiedzie wybrałem się i ja z dzieciakami na odpust. Gdzie idziemy najpierw? Oczywiście na karuzelę.

— Wujek, na lwa.

— Dobrze, Haneczko.

Ale wszystkie lwy były zajęte. Więc dosiedliśmy koni. Gotowe. Autentyczny apasz rżnie na harmonji poleczkę. Ruszamy. Kawalery wiejskie z Magdziami i Kasiami w przychwycie napierśnym. Jazda. Kołuje mi się w głowie. Miga przed oczami różnobarwny tłum widzów. — Haneczko, trzymaj się dobrze! Powoli kołowacizna mija i człowiek

się uspakaja. Gdzie Dzidek? Siedzi w bryczce. Dla pewności usiadł nie na siedzeniu, lecz rozpłaszczył się na dnie jak żaba. Filozofowie nie grzeszą widać odwagą.

Muzyka milknie. Karuzela staje. Ziemia się chwieje pod nogami. Wreszcie ziemia też staje. Zanurzamy się w mrowie ludzkie, nad którem unoszą się dźwięki trąbek, gwizdków, organków, piszczałek i krzyki przekupniów:

— „Tu się gra i wygrywa! Za jedne dwadzieścia groszy można wygrać rozmaite figury porcelanowe dla dzieci i dorosłych. Za jedne 20 groszy można wygrać tego koguta naturalnej wielkości"!

— „Po dwa złote zegarki z regularną punktualnością! Proszę, proszę! Tylko dwa złote!"

— „Tutaj Ignac Gałązka z Górnego Śląska! Cały worek cukierków za jedne dwadzieścia groszy. Proszę popatrzeć. Niema żadnego oszukaństwa. Oto torebka. Wkładamy cukierki. Dziesięć — mało, dwadzieścia — mało, trzydzieści — mało, czterdzieści — mało, pięćdziesiąt — mało! — Więc jeszcze jeden rumowy na dokładkę i cały ten worek za jedne 20 groszy. Po cenach fabrycznych. Tutaj najtaniej. Ignac Gałązka z Górnego Śląska!"

— „Straszna zbrodnia zamordowanej dziewczyny, która została uwiedziona miłością. Dwie krwawe zbrodnie oraz walc „raz na lewo, raz na prawo" — za jedne dziesięć groszy!"

Na odpuście grasuje 18-tu fotografów. Dokoła Rynku poustawiane dekoracje. Ohydy. Przeważnie są to parki z zamkiem na skale wgłębi. Albo morze, latarnia morska i okręt w oddali. Ale największem powodzeniem cieszą się fotografowie, posiadający dekoracje z samochodem. Samochód namalowany na tekturze ma z tyłu drewnianą ławeczkę, na której się siada do zdjęcia. Na właściwej dekoracji jest szosa, Wisła i most. Proletarjat zdejmuje się na samochodzie. Najszczęśliwszy jest ten, który trzyma rękę na kierownicy. Tekturowej kierownicy tekturowego samochodu.

Upojeni podróżą w niezwykłe na karuzeli, realizują biedni ludzie marzenia o zamkach, morzu, pięknych ogrodach, lenistwie i samochodach... na fotografji.

***

Codziennie o godzinie dziesiątej wieczorem, warczy na wszystkich czterech (?) ulicach Chodcza trajkotka. To Magistrat m. Chodcza przypomina w ten sposób swoim mieszkańcom, że czas spać. Śpijcie, dobrzy ludzie, przecież już dziesiąta.

I miasto posłusznie kładzie się o 10-ej. Tylko u pana sędziego pali się światło w oknie. Tam grają w preferansa.

Na ulicach jest ciemno. Poco oświetlać miasto, kiedy wszyscy śpią, kiedy nikt nie chodzi, kiedy jest cisza. Tylko na Rynku świeci bezinteresownie lampa stacji benzynowej. Wwiercona w śpiące miasteczko, ta obca, nietutejsza lampa, przecząca odpoczywaniu, czeka na dalekie rozpędzone samochody. Samochody, które nie przyjadą...

Józef Czyściecki

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Układ sowiecko-włoski zakończył serję paktów ZSRR z państwami Zachodu. Podpisanie tego układu załagodziło niezadowolenie, jakie wywołało w Moskwie podpisanie inspirowanego przez Włochy paktu czterech, w Rzymie zaś—podpisanie inspirowanego znów przez Sowiety paktu wschodniego oraz polityki zbliżenia się ZSRR do Francji. Już od światowej konferencji gospodarczej trwają zabiegi i próby ściślejszych porozumień z ZSRR. Jedynie Włochy trzymały się zdaleka. Sowiety zaniepokojone były paktem czterech, obawiając się współpracy Niemiec i Włoch. Włochy dążyły do stworzenia przeciwwagi dla rozwoju stosunków francusko-sowieckich.

Zawarty pakt daje wzajemne korzyści obu kontrahentom. Włochom zapewnia korzyści gospodarcze (zaopatrzenie w sowieckie zboże, węgiel, naftę). Sowietom daje korzyści polityczne, zapewniając neutralność Włoch w wypadku konfliktu sowiecko-niemieckiego. Zbliżenie Włoch i Francji do Sowietów oznacza dalsze odosobnienie Niemiec z tem tylko, że Włochy i Francja występują w tem porozumieniu jako współzawodnicy.

Bardzo znamienne są komentarze prasy sowieckiej, francuskiej i niemieckiej, omawiające podpisanie paktu włosko-sowieckiego.

Moskiewska *Prawda* pisze o wielkiem znaczeniu politycznem paktu i o jego niewątpliwej roli w dziele utrwalenia pokoju. Jest on dowodem wzrastającej siły ZSRR, z czego Włochy umiały wysnuć należyte konsekwencje. Dziennik zaznacza, że pakt rzymski dopełnia długiej serji układów o nieagresji, zawartych przez ZSRR ze wszystkiemi wielkiemi państwami kapitalistycznemi Europy, z wyjątkiem Anglji.

Izwiestja omawiają taktykę Z.S.R.R. która „odróżnia politykę wewnętrzną od zewnętrznej" i dlatego może utrzymywać dobre stosunki z krajami faszystowskiemi. *Izwiestja* piszą, że sprzeczności pomiędzy kapitalizmem a socjalizmem nie znalazły wyrazu w polityce zagranicznej faszyzmu, przeciwnie — rząd włoski postawił sobie za zadanie rozwinięcie stosunków gospodarczych z ZSRR. Nie ulega wątpliwości, że przez podpisanie paktu o nieagresji rząd włoski stwierdził, iż pakt czterech, którego był inicjatorem, nie ma charakteru antysowieckiego. Ze swej strony ZSRR nie mógł być obojętny na fakt wyrzeczenia się przez Włochy udziału we froncie antysowieckim. ZSRR pragnie pokoju ze wszystkiemi państwami „bez względu na to, czy uprawiają one politykę kapitalistyczną pod sztandarem demokracji czy faszyzmu. Cele zewnętrzno - polityczne państw imperjalistycznych nie zależą — zdaniem *Izwiestij* — od form, jakie przybiera dyktatura burżuazji. Dzieło zaś pokoju doznaje utrwalenia nie przez sam fakt podpisania nowego aktu dyplomatycznego, lecz dzięki temu, że odpowiada on realnym interesom dwóch mocarstw.

Inne artykuły *Izwiestji i Prawdy*, poświęcone układowi z Włochami, zawierały konwencjonalne ukłony pod adresem Italji, związane z ostremi wypadami antyniemieckiemi, pochwałę pokojowej polityki sowieckiej i komplementy dla Francji. Rozproszono zarazem nadzieje jednych, a obawy drugich, co do „paktu czterech". Karol Radek wystąpił z artykułem dementującym podejrzenia, jakoby negatywny stosunek ZSRR do paktu czterech miał ulec jakimkolwiek zmianom, oraz zadając jednocześnie kłam twierdzeniom prasy włoskiej, piszącej o „rozszerzeniu paktu czterech w sensie przyciągnięcia doń ZSRR". Radek nazwał pakt czterech „koncertem, który może zamienić się jedynie w kakofonję", a jednocześnie dał do zrozumienia, że zgoda trzech partnerów, godząca w interesy Niemiec (chodzi tu o zgodę na zbrojenia austrjackie) może się łatwo przemienić w porozumienie trzech

przeciw — Francji w formie zezwolenia na dozbrojenie Niemiec...

Prasa niemiecka tłomaczy zbliżenie włosko-sowieckie jako odchylenie się Włoch od linji polityki proniemieckiej i wola o umocnienie więzów, łączących oba państwa.

Le Journal w artykule wstępnym „La portée du pacte italo - sovietique" zaznacza, iż nie wydaje się prawdopodobnem, by włosko-sowiecki pakt o nieagresji wywołał jakąś poważniejszą zmianę w stosunkach między Rzymem a Moskwą, które i dotychczas były przyjazne. Dziennik ten przypomina, że Włochy, które uznały Sowiety w roku 1924, stale wzmagały od tego czasu swe stosunki gospodarcze z Sowietami np. przez udzielenie swym przemysłowcom eksportującym do ZSRR, znacznych kredytów, sięgających w latach 1930 — 1933 od 100 do 300 miljonów lirów rocznie.

Journal de Debats również pisze, że świeżo podpisany pakt nie wpłynie bynajmniej na zmianę stosunków między obu państwami, potwierdzając tylko istnienie między niemi przyjaznych stosunków.

Uzupełnieniem systemu paktów zachodnich ZSRR, byłoby uznanie Sowietów przez Stany Zjednoczone. Niedawno, w depeszy z Waszyngtonu, podała agencja Havasa, że nacisk zainteresowanych amerykańskich kół handlowych jest tak silny, iż prez. Roosevelt będzie zmuszony do zbadania kwestji uznania Sowietów. Doradcy prezydenta są na ogół za uznaniem rządu ZSRR. Urząd odbudowy finansowej wskazał na setki zgłoszeń firm handlowych, które złożyły podania o otwarcie kredytów, celem umożliwienia im wywozu do Sowietów. W obecnej konjunkturze gospodarczej USA nacisk ten idzie od właściwej strony, pod hasłem ważkiej dla bilansu handlowego pozycji eksportu.

***

16-go października zbiera się ponownie w Genewie konferencja rozbrojeniowa. Norman Davis, ambasador nadzwyczajny Stanów Zjednoczonych i przewodniczący delegacji amerykańskiej na konferencję, przed wyjazdem do Europy, otrzymać miał jakoby instrukcje niezwykle ważne: wyrzeczenie się przez USA myśli o uzależnieniu sprawy długów wojennych od rozbrojenia i zaakcentowanie niezbędności skutecznej kontroli międzynarodowej nad zbrojeniami.

Wieści telegraficzne o nowym projekcie Roosevelta zbiegły się z powrotem premjera francuskiego Daladiera z podróży inspekcyjnej na pograniczu Alzacji i Lotaryngji. Premjer zwiedzał w towarzystwie sztabu generalnego pas nowych twierdz, wzniesionych na granicy francusko-niemieckiej. W całej prasie paryskiej ukazała się w dniu powrotu premjera jego fotografja w otoczeniu sztabowców francuskich na reńskim moście pod Drusenheim. Premjer Daladier kazał się sfotografować ze wzrokiem, utkwionym w niemiecki brzeg Renu.

Prasa francuska, nawet ta jej część, która niedawno nawoływała do rozbrojenia, interpretowała podróż premjera, jako odpowiedź Francji na prowokacje niemieckie. Prasa niemiecka oceniła inspekcję i głosy prasy francuskiej, jako demonstrację antyniemiecką.

Rząd austrjacki otrzymał po parotygodniowych rokowaniach zezwolenie Londynu, Rzymu i Paryża oraz rządów państw Małej Ententy na stworzenie specjalnego wojennego korpusu posiłkowego, który ma się składać z 10 tysięcy ludzi, zaciągniętych na zasadzie ochotniczych zgłoszeń. Łączna liczba ludzi tego korpusu i żołnierzy armji austrjackiej nie może przekroczyć 30 tysięcy, przewidzianych dla Austrji traktatem w Saint-Germain. Mimo to stworzenie nowej jednostki wojennej stanowi pewien wyłom w tym traktacie, a jednocześnie — zwiększenie siły zbrojnej Austrji. Rząd francuski w odpowiedzi na pisma austrjackiego chargé d'affaires w sprawie utworzenia tego korpusu, oświadczył, iż nie będzie miał żadnych zastrzeżeń „tak długo, dopóki istnieć będą warunki specjalne, do których przedewszystkiem zaliczyć należy akcję terorystyczną przeciw obecnemu rządowi Austrji". Aluzja do niemieckich nazi jest aż nadto przejrzysta.

Naczelnym bodaj punktem przyszłych obrad genewskich będzie zagadnienie kontroli zbrojeń. Termin „bezpieczeństwo", który doniedawna Stany Zjednoczone i Anglja uważały jedynie za wyraz „manjackiego" oporu Francji, uzyskał prawo „obywatelstwa politycznego" w obliczu militaryzacji Niemiec. Hitler okazał się mimowolnym propagatorem hasła „najpierw bezpieczeństwo, potem rozbrojenie". Samo hasło rozbrojenia spotyka się w opinji międzynarodowej z coraz chłodniejszem przyjęciem.

Czegóż tedy w tych warunkach spodziewać się jeszcze od konferencji genewskiej? Niedawne obrady jawnie wskazały na jej niezdolność przeprowadzenia jakiegoś planu faktycznego rozbrojenia. Dziś takie rachuby byłyby niedorzecznością. Maximum sukcesu — to jakiś rozejm rozbrojeniowy, zawieszenie wyścigu zbrojeń na określony przeciąg czasu. Łączy się jednak z tą kwestją zagadnienie międzynarodowej kontroli zbrojeń, sprecyzowane w francuskim projekcie rozbrojeniowym. W ujęciu angielskiem różni się jeszcze ta sprawa znacznie od koncepcji francuskiej, w Stanach Zjednoczonych obwarowano ją postulatem uprzedniego rozbrojenia, wszędzie jednak jest już — w różnej formie coprawda — kwestją uznaną.

W obliczu tajnych zbrojeń Niemiec osiągnięto zgodę, iż bez kontroli niema i nie może być rozbrojenia. Czy Niemcy zgodzą się na kontrolę? Oczywiście — nie.

W wynurzeniach i rozmowach dyplomatycznych nie wymienia się kraju, w którym kontrola zbrojeń będzie miała najtrudniejsze zadanie, ale między wierszami wymienianych not wyraźnie czyta się, iż specjalnie wdzięczne pole do pracy będzie miała komisja kontrolująca w obozach nazi, w kadrach przeszkalających etc... Rząd Hitlera nie będzie mógł się zgodzić na kontrolę, którą odrzucił „zdradziecki" rząd Stresemanna i Brüninga. Koncepcja taka groziłaby całkowitem załamaniem wewnętrznego autorytetu obecnego rządu, pomijając już konsekwencje polityczne „kontroli", która poinformowałaby o tem, co się dzieje za żelbetonowemi ścianami fabryk niemieckich.

***

W odzyskanych po wojnie przez Belgję okręgach Eupen i Malmedy wzmaga się agitacja hitlerowska, która osiągnęła takie rozmiary, że rada ministrów musiała zająć się tą sprawą. Eupen i Malmedy posiadają charakter wybitnie strategiczny, jako punkt wypadowy dla armji belgijskiej oraz jako przeszkoda, która zatrzyma napad wojsk niemieckich daleko przed fortami Liège. Incydenty graniczne, mimo niechętnego stosunku miejscowej ludności do hitlerowców, są coraz częstsze. Wzmogła się podziemna akcja organizacyj takich, jak „Verein für Deutschtum in Ausland" i „Heimatsbundu", które rozporządzają znacznemi zasobami materjalnemi. Subsydjują one prasę prohitlerowską, szkoły niemieckie, zakładają tajne stowarzyszenia. Szereg „Ostgruppen" powstał w Brukseli i Antwerpji.

Poza wzmocnieniem pogranicznej straży, rząd belgijski wprowadza ostre zarządzenia przeciw propagandzie hitlerowskiej na terenie Belgji.

Zastępca

LISTY DO »EPOKI«

Szanowny Panie Redaktorze!

Proszę uprzejmie o łaskawe wydrukowanie poniższych słów kilku, wywołanych notatką Henryka Lukreca „Pokutująca nieścisłość", umieszczoną w Nr. 38 (51) „Epoki".

J. Wł. Dawida osobiście nie znałem i nigdy się z nim ani w Królestwie, ani na emigracji nie spotkałem, jako z działaczem, nie stykającym się na żadnem polu z kierunkiem politycznym, do którego zawsze należałem. O wydawanem przezeń piśmie, w którem — obok ludzi, politycznie nie zaangażowanych — pracowali w dobie rewolucyjnej 1905 — 1907 wyłącznie przeciwnicy niepodległościowej P. P. S., w kołach tej ostatniej panowała opinja, jako o piśmie antyniepodległościowem. Ponieważ zaś najbardziej zaciętą przeciwniczką hasła niepodległości była S. D. K. P. i L., przeto wszystkie objawy antyniepodległościowe utożsamiono wówczas w kołach P. P. S. — być może niesłusznie — z sympatjami do S. D. K. P. i L. Dlatego też i współpracownictwo w „Społeczeństwie" (wzgl. „Przeglądzie Społecznym"), uważaliśmy „raczej" (jak pisałem o St. Brzozowskim) za sympatyzowanie z S. D. K. P. i L. O stanowisku już nie tylko antyniepodległościowem, ale nawet antyautonomicznem J. Wł. Dawida zachowałem pamięć ex re polemiki, jaką z nim stoczyłem, jako redaktor „Robotnika" na łamach tego pisma w czerwcu 1907 r. To też ze szczerem zadowoleniem przyjmuję do wiadomości informację Henryka Lukreca, popartą faktami z r. 1912, że „J. Wł. Dawid był z ducha i przekonań niepodległościowcem".

Łączę wyrazy szczerego szacunku

Leon Wasilewski

Warszawa, 14.IX.1933.

Od administracji

Przypominamy Sz. Czytelnikom, że czas odnowić prenumeratę na 4-ty kwartał 1933 r. Czytelnicy, którzy nadeślą przedpłatę, unikną przerwy w otrzymywaniu pisma.

Prenumerata kwartalna — zł. 6 (Konto P.K.O. Nr. 26.630.)

Do numeru niniejszego dołączamy blankiet P. K. O.

TREŚĆ NUMERU:

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalna z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Z.- 582 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3.